

ramienia, on u którego pojęcie wolności stało wyżej jak król i ojczyzna, nie myślał o tém, że popularne jego myśli i frazesa przedrukowane mało nie po wszystkich pismach, głoszone po kraju, po sejmach, po sejmikach, przejdą w krew i duszę szlachecką i poprowadzą kraj do anarchii." 103. — Co do tych uwag dodać jednak należy, iż ściśle mówiąc, tylko ostatnia z nich jest trafna, to jest iż Orzechowski nie myślał iżby zasady jego miały poprowadzić do anarchii, że bowiem w rzeczy nietolerancyi dopominał się działania aramienia świeckiego, to widzieliśmy z własnych słów jego, — a że miał nadzieję i chciał aby zasady jego przeszły w przekonania szlachekie, dowodem tego jest, że właśnie każde prawie swe pismo podawał na zbierające się sejmy (i chwalił się naprzykład w *Quincunzie*, iż jego *Dyclog* na poprzednim sejmie i w kraju był rozchwytywany i poraz drugi odbijany). Przeciwnie za zupełnie trafne poczytujemy uwagi odnoszące się do ogólnego zaaczenia Orzechowskiego w naszej literaturze. Orzechowski pisał o prawie, pisał z wymową, — w Rocznikach skreślił trafny obraz dziejów krajowych, wszakże, uważa p. Kubala, autor ten nie był właściwie ani historykiem, ani mówcą, ani prawnikiem, lecz pisma jego mają największy walor jako broszury okolicznościowe. „Orzechowski, mówi p. K., był publicystą, był ojcem publicystów krajowych, ojcem najbogatszego działu naszego piśmiennictwa.” „W pismach jego uosobiła się była Rzeczpospolita polska z XVI wieku, i Orzechowski stał się być przez nie ojcem XVII wieku naszego kraju.”

Historja literatury naszej postąpiłaby pięknie, gdyby otrzymywała częściej monografie podobne tym jak obecna p. Kubali.

X.

*Powieści: „Hazardy.” W 1 tomie przez Wład. Łozińskiego. (Lwów, 1870). — „Kilka słów o s. p. Walerym Łozińskim.” — „W otchłani,” nowella W. Gomulickiego. — „Błyszczące nędze,” powieść M. Bałuckiego. (Kraków, 1870). — „Milion na poddaszu,” powieść w 1 tomie, przez Jana Zacharyasiewicza. (Poznań, 1870). — „W mętnej wodzie,” powieść przez J. I. Kraszewskiego. (Poznań, 1870).*

O zadaniu właściwóm powieści, nikt jeszcze nie wyrzekł ostatniego słowa, być może dlatego, że powieść jest jedną z wyłącznych prawie form literackich, w których nie chodzi, o ściśle zachowanie pewnych reguł i przepisów. Forma dramatyczna obejść się bez nich nie może, — powieść zaś, jeżeli tylko odzwierciedla prawdę ży-

cia, nie zbaczając przytém od estetycznego piękna, to już usprawiedliwia rację swego bytu. Z tego tóż zapewne powodu, postępują się rozmaici pisarze powieścią, jakoby środkiem przeprowadzania pewnych tendencji: socyalnych, politycznych, ekonomicznych, a w najświeższych czasach nawet: teologicznych (d'Israeli w powieści p. t. „Lothar”). Przed wszystkimi innymi pisarze niemieccy przeprowadzają w powieści swoje idee i pomysły społeczno-polityczne, z podstawą filozoficzną, bez czego się nigdy obéjść nie mogą. Do takich należy Freitag, Spielhagen, Auerbach (na tle sielankowém) i inni. Francuzi fotografują chwilę bieżącą w jej najszeptniejszych choćby objawach, starając się przeważnie o skopiowanie codziennéj rzeczywistości, którą mylnie biorą za prawdę, jakiej wymaga sztuka. Angielscy, których możnaby oznaczyć z wyjątkiem Bulwera, jedném mianem: „Szkoly Dickensa”, stanęli najbliżej celu, spełnili najwyborniej posłannictwo, jakiego się spodziewać można po utworach, formą najprzystępniejszych ogółowi. W naszej literaturze powieściowój, z wyjątkiem romansu historycznego (gdzie królami: Rzewuski i Z. Kaczkowski,) nie ma tak wybitnego kierunku, iżby się go dało zaliczyć do jednéj głównej szkoły, lub podporządkować pod jedną nazwę mistrza — przewodnika. Kraszewski i Korzeniowski, a nie mało tóż i Zygmunt Kaczkowski (Dziwożona i Bajronista) są wprawdzie owymi wodzami, którzy stworzyli armią, rozbudzili zapał, ale nowo zaciężni i ochotnicy, zaledwie wyéwiczeni w robieniu bronią, wnet porzucili sztandar wodzów, i puścili się szukać, każdy dla siebie, nowych zwycięstw. Było w tém i jest wiele samodzielności, wiele siły, wiele warunków powodzenia, ale tóż i wiele bezrządu, nieładu i sporo naśladownictwa *paryżkiego* realizmu. Przyczynił się on może do dramatyczniejszego, a przynajmniej ruchliwszego traktowania przedmiotu, ale skaził oryginalność pomysłów i swojskość gruntu, na którym z taką chwałą pracowali wyżej wymienieni, znakomici powieściarze. Jaskrawość sztuczna, wielce ponętna, zwłaszcza dla młodych pisarzy, kopiowanie drobiazgowe szczegółów powierzchownych, zastępują prawdę istotną, psychologiczne studia i owo ciepło duszy, tak charakterystyczne w romansie angielskim. Napozór, wydaje się dziwném to połączenie jaskrawości i awanturniczności z realizmem, zdającym się ją odpychać, lecz właśnie ta jaskrawość zapożyczająca się z zewnątrz, stała się niezbędną, uzupełniającą brak głębszego wnikięcia w stronę duchową. Zład pochodzi, że zamiast obrazów, typów, tworzą fotografie, zamiast znamion wewnętrznych wywołujących wzruszenie, brodawki i inne szczegóły, świadczące o dobrym mechanizmie, ale nie o trafności oka duszy.

Skutkiem takiego naśladownictwa, pomijają często autorowie stosunki, w których wzrosli, jakotóż potrzeby i choroby społeczeństwa, które leczyć mają, a za bohaterów, zwłaszcza zaś bohaterki wybierają postacie, jeżeli nie najzupełniej nam obce, to co najmniej, bardzo wyjątkowe. Za tém tóż idzie, że od lat kilku nie

wiemy prawie o żadnej powieści, którójby można wróżyć trwały byt w literaturze. Wiele z nich zabłyśnie, chwilowo olśni, zadziwi, wywoła nawet dyskusyę, lecz wkrótce w zapomnieniu ginie. Brak im podwaliny, zbudowanej na rodzinnym obszarze, znamion charakterystycznych, odróżniających typ od figur powszednich, a w reszcie zdrowych lub wyższych idei, wyciskających piętno niepospolitości na literackim utworze.

Przechodząc od uwag ogólnych do przykładów, zajmiemy się najprzód powieściami dwóch młodszych pisarzy. Jedna z nich nosi tytuł: „Hazardy,” druga „W otchłani.” Autorem pierwszej p. Władysław Łoziński, drugiej p. Gomulicki.

Treść pierwszej taka:

W teatrze zapoznajemy się z bohaterem głównym. Sala przepełniona, towarzystwo świetne; ale nikt nie patrzył na scenę, wszystkich oczy zwrócone były w stronę, gdzie siedział młody mężczyzna, o twarzy tak wybitnej, że niepodobna było nie zatrzymać się na nią dłużej wzrokiem. Była to twarz piękna, blada, patrzyła oczyma gorejącymi, pełnymi tajemniczej głębi i zagadki, a drgała uśmiechem oryginalnym, prawie strasznym... Nie jedna kobieta patrzyła nań z współczuciem, ale to zdawało się go właśnie niecierpliwie i gniewać. W łóżach opowiadają o nim, że nie miał wielkiego majątku, a wyrzucał pieniądze jak nabob indyjski; że się pojedynkuje z łada przyczyny, że przepyszemu Arabowi, za którego zapłacił 2,000 dukatów, z rewolweru w łeb strzelił. Młody człowiek domyśla się lub nie, że jest przedmiotem ogólnej ciekawości, dość że patrzy w jedno tylko miejsce, gdzie siedzi kobieta olśniewającego powabu. Ale kobieta ta, nie ma dla niego spojrzenia. Nazywa się pani Sylwia, i jest żoną hrabiego Daniela, którego później poznamy. Zajęcie publiki wzmogło się jeszcze więcej, gdy do łóż bohatera, pana Amadeusza Ordawskiego, wszedł brodac jakiś w czerwonej koszuli, który wchodząc nie zdjął nawet kapelusza. Po krótkiej rozmowie, wyszli obaj z teatru. Amadeusz obrzony obejściem i tonem nieznanego, musiał jednak wysłuchać opowiadania, którego rezultat przyniósł mu kilkakroć, niby w spadku po stryju, zeszytym samobójczo w Homburgu. Nadarmo chciał bliższą znajomość zabrać z oryginałem; chłodno i milcząco pożegnał on zdziwionego, który się ujrzał panem fortuny w chwili, gdy już ostatkami pędził.

Ten pan Amadeusz wzbogacony na nowo, nie poprawia jednak życia, owszem trwoni pieniądze jak nigdy, bez przyjemności i bez celu, a cały plan przyszły ogranicza się u niego, do zdobycia sobie miłości owój p. Sylwii, rozkosznej żony hr. Daniela. Miłość ta, a właściwie namiętność, trawi go piekielnym ogniem; odbiera mu sen i spokój, trzyma go w zawieszeniu i zwątpieniu. Nie oświadczył, jeszcze nigdy swych zapałów, bo kobieta ta nęci go i odpycha, pociąga urodą a imponuje obejściem. Na męża jej nie wiele zważa, mając go za lichego i zwykłego człowieka, a w dodatku za wielce schorzałego. Hr. Daniel albowiem (figura, która się najlepiej po-

wiodła autorowi) jestto sobie dziwak niepospolitego rodzaju, a ma nadto tę specyjalność, że umiera od lat dwudziestu. Wszyscy znajomi ubolewali, krewni zaś oczekiwali przez długie lata jego sutęj ojcowizny. Nizki, niezmiernie wątkły, lat czterdziestu, wiecznie otulony w futra i szale, przedstawiał postać mizerną, którą słusznie mógł pogardzać silny i piękny Amadeusz. Niedawnemi czasy wszakże, gdy wrócił z wód zagranicznych, gdzie go według rachuby krewnych, niechybna śmierć spotkać miała, przywiózł sobie towarzyszkę bardzo piękną, w której krewni za przerażeniem uszanować musieli żonę. Hr. Daniel ustawicznie dogorywając, administrował mimoto wybornie ogromnym majątkiem, i nie dał się podejść rządzcom i ekonomom. Nikt nie pojmował, z kąd brał na wszystko sił i czasu. Otóż w takiego to człowieczka żonie, kochał się zapamiętale pan Amadeusz, postanawiając pewnego dnia, wyraźnie jęj to powiedzieć. Ale pani Sylwia umiała tak zręcznie poprowadzić rozmowę, że nie wiele z nięj mógł wyrozumieć, a nadto swobodnęj wymianie myśli, przeskadzała niejaka panna Irena, którą niedawno przed tēm rozkochany porzucił bez skrupułów i bez litości. O tęj miłości Ireny wię pani Sylwia, która umyślnie, trochę z pustoty a głównie dla upokorzenia don Żuana, drażni go i nęci. Atoli uczciwa i szlachetna, przerachowała się w niewinnęj zabawce, bo roznamiętniony kochanek pisze do nięj list ognisty, stanowczy, w którym opisując jęj całą wulkaniczność swego płomienia, domaga się wzajemności. Wtedy boleśnie dotkniętą i obrażoną uczuwa się Sylwia, jako kobięta uczciwa i jako kochająca całą duszą swego męza. Spłakana, wzburzona nie wię co począc, lecz odpisuje mu ażeby przybył na herbatę, gdzie go zamysła pociągnąć do surowego tłumaczenia. Spłakaną, zastaje mąż hr. Daniel, i naleganiem wymusza najszczerze zeznanie. Schorowany człowieczek potężnije nagle, prostuje się dumną i obrażoną czcią małżonka. Kiedy niecierpliwy kochanek przybywa, zastaje zamiast wzajemném uczuciem pałającej kochanki, surowego i nieugiętego męza, dopominającego się z męzką godnością, o reparacyą zamachu na honor. Naznaczają sobie schadzkkę za kilka miesięcy, u wód w Baden-Baden. Tam tēż przyjechała cierpiąca Irena ze swym opiekunem i wujem, owym oryginałem nieznanym, p. Rochem Czerskim, który wręczył spadek Amadeuszowi.

Człowiek to prawy, silnego ducha, surowych zasad, kochający nad życie Irenę, tak jak niegdys kochał jęj nieboszkę matkę. Ów spadek była to darowizna z jego strony, uczyniona na prośby Ireny, litującej się nad zrujnowanym a tak przez nią ukochanym Amadeuszem, co się wyjaśnia na końcu. W Baden-Baden wię zjeżdżają się hr. Daniel z żoną, Irena z wujem, i niejaki p. Zygmunt Szarski, zakochany skrycie w Irenie, bez nadziei. Całe zajęcie przeniesione teraz na biędną dziewicę, która wię że się pożegnała na zawsze z nadzieją szczęścia. Amadeusz nie występuje już wcale na widownią, a czytelnik nie widzi nawet jego trupa; dowiaduje się tylko z opowiadania, że zginął w pojedynku z małym człowie-

czkiem, hrabią Danielem, który wymierzył kulą w same czoło. To nagłe zniknięcie głównego bohatera, wplata w powieść jakby część drugą, odmienną, w której pierwsza wygląda jak epizod. Psuje to wrażenie całości, osłabia niezmiernie interes, i niweczy do reszty znaczenie tytułu. Irena dowiedziawszy się o tak strasznym nieszczęściu jedzie do Wenecyi, gdzie dogorywa, a niepokieszony p. Roch chce zamieszkać w górach, w sąsiedztwie zacnego Szarskiego, do którego za jego miłość dla Ireny, mocno się przywiązał.

Występuje tu jeszcze kilka innych figur, które lubo narysowane dosyć szczęśliwie i prowadzone żywo, mają wszakże w powieści podrzędne całkiem znaczenie. Takiemi są: Albin Wywilski, pieczeniarsz, intrygant, *chevalier d'industrie*, żyjący kosztem drugich; ojciec Ireny, starzec głupi i śmieszny, figura zużyta; p. Schwinder agent giełdowy, postać żywo sfotografowana z galicyjskich stosunków; p. Ożarko sąsiad Szarskiego, człek szlachetny, układny, skromny i olbrzymiej pracy na rodzinnym zagonie.

Najpierw zarzucić musimy autorowi, sam tytuł zbyt abstrakcyjny i nieusprawiedliwienie jego, nie wytłumaczenie się z idei, jeżeli jaką tytuł miał oznaczać. Wnioskując z nazwania „Hazardy” mogła to być teoria bohatera; ale bohater ani ją jasno postawił, ani jej katastrofą ostatnią nie dowiódł, ani jej nawet w rozmowie z hr. Danielem (str. 102) według własnej logiki, nie przedyskutował. Powiada między innymi w tej rozmowie, że życie absolutnie nie da się pojąć bez ślepego igrzyska losu, i że ludzie zostają pod tajemniczym zaklęciem losu; trochę później mówi o szlachetnym hazardzie, jakim jest np. „namiętność” (?) dla ideału, dla szczytnego jakiegos celu. Jakiemuż więc hazardowi ulega? Jeżeli pierwszemu, to jestto fatalizm, a nie hazard; jestto uleganie tajemniczości losu a nie poddawanie się ślepego przypadkowi, który w takim razie, takieby samo miał znaczenie, jak spadnięcie dachówki na głowę. Teoria wszelka czy idea, wymaga wiary w nią; przekonania że albo czyny są jej wynikiem, albo ona wpływem czynów. Tymczasem Amadeusza działanie burzliwe, lekkomyślne, ulega przypadkom a raczej nieuniknionym konsekwencyom, jak być nie mogło inaczej; ale on sam nie idzie naprzeciw tych wypadków; nie wywołuje ich z tą wiarą, że choć działa źle, ale inaczej działałby nie był w stanie. Hazard więc tutaj nie są, tém, czego zapewne autor chciał, to jest fatalizmem, ale seryą wypadków, podyktowanych bezmyślnym szaleństwem, rzucaniem się bez celu i bez jakiegokolwiek najmistyczniejszej choćby zasady. Dlatego i wtedy nie może Amadeusz powiedzieć: że hazard jego to fatalizm, gdy się pojedynkuje z Rochem, opiekunem Ireny. Ten albowiem zetknąwszy się z nim wypadkiem u siebie, zarzuca mu nikczemność w postępieniu z nieszczęśliwą dziewczyną, i zmusza go do natychmiastowego pojedynku. Amadeusz strzela pierwszy i chybia, bo pistolet był nabyty ślepym nabojem. Roch strzela w lustro, i upokorzywszy go głęboko, wyższością swoją moralną, tak do zmieszanego mówi: „... Nie ja żartowałem z ciebie, ale ten hazard

w który wierzysz, i który Bogiem jest twoim!" Wszakże to najprostszy wypadek, bo Amadeusz najniespodziewaniej był zagadnięty, i najniespodziewaniej bić się musiał. Gdyby był poprzednio przygotowanym, a mimo to nie wahał się; gdyby szedł śmiało bez względu na to: czy go śmierć spotka lub zwycięstwo, a jedynie pod wpływem wiary swój w tajemniczość losu, która potężniejszą bywa od ludzkich rozumowań, to wiedzielibyśmy na pewno, że jest fatalistą. A tak rzecz się płacze, gdy powinnaby być postawioną i przeprowadzoną logicznie, boć przecie stanowi założenie autora i książce daje tytuł.

Ta niezgoda autora ze samym sobą, odbiera książce wartość idei, ogołaca ją z jednostajności działania, jednym słowem odejmuje jej najżywotniejszy interes. Pojedyncze rozdziały, mniej lub więcej zajmujące, czyta się jak oderwane epizody, a nie jak części układające się w całość jednolitą. Podobne to do płótna malarza, na którym znajduje się i kawałek pejzażu, i napoczęta grupa rodzajowa. Jedno i drugie może być obok siebie, ale nie tłómaczy dokładnie, czego chciał malarz właściwie.

Autor tymczasem: „Hazardy,” czyli komentarz powieściowy do tychże, stworzył osiłą i podstawą, a reprezentanta ich Amadeusza, chciał uczynić osobą główną. To mu się więc wcale nie udało, a nadto Amadeusz, na samym wstępie silnie narysowany, później bladej, a w ostatku gdyśmy go jak najbliższej poznać chcieli, gdy powinien się rozwinąć w całej wszechstronności swego charakteru, znika bez śladu, i tylko z za kulis, dochodzi nas odgłos dalszych jego smutnych kolei. Pół-bajronista to, i pół-bohater, jaskrawego francuzkiego romansu. W postaci tej, znać za wielki zamach do maluczkiej działalności życia i duszy. Namiętność wreszcie dla Sylwii, zbyt za jednostronnie go odsłania, zbyt pobieżnie i sylwetkowo zapoznaje nas z człowiekiem, w którym bądźco bądź, tkwić muszą i wady i przymioty. Znamy tylko jego namiętność, i to niebardzo ponętnie skręśloną, i jego mętną teorię, ale nie znamy wnętrza, nie znamy duszy, w której się przecie przerabiać musiały uczucia i myśli, zanim wybuchły w najdziwaczniejsze choćby czyny. Tu się odkrywa słaba strona psychologiczna, a właściwie i śladu procesu psychologicznego nie ma.

Lepiej bezporównania udało się autorowi postać Rocha, oryginalną z szlachetnym sercem, z energią żelazną a z duszą dziecięcoczułą, a lepiej jeszcze hrabiego Daniela. Kontrast wątków jego budowy fizycznej z olbrzymią energią, z niepospolitą inteligencją, dochodzi do istotnej dramatyczności w rozmowie między nim a Amadeuszem, gdy karcąc go za niecnosć postępku, ustanawia się surowym onegoż mścicielem.

Charaktery kobiet blade i niewyraźne. O pani Sylwii tyle zaledwie wiemy, że była pięknoscią posagową, ale nie dopatryliśmy nic w niej takiego, coby nawet bez jej woli, samym tylko poniewolnym urokiem, jakim obdarzone niektóre wybrane kobiety, roznamiętnić i namiętność Amadeusza usprawiedliwić mogło. Dwa

razy tylko z nim rozmawia, a i w tych obydwóch razach, rozmowa toczy się tak salonowo, z taką restrykcyą, że jeżeli zakochany rościł sobie ztąd jakie pretensye, to winien sam sobie, a raczėj uporowi, z jakim koniecznie chciał wmówić w siebie miłość. Zdaje się nam jednak, że zachowanie się tak biernie kobiety, jak jest pani Sylwii, nie może rozplomić nikogo do takiej gwałtowności, a tćm tćz jeszcze bardziej ośmielić do kroków, dozwoonych za ledwie wzajemnie kochanym. Wiemy rćwnież o pani Sylwii, że kocha swego mćża, co bardzo chwalebnie z jćj strony, ale dla czego kocha go tak bardzo, co w powieści wiedzić wypada, zwłazcza gdy się wchodzi w styczność z huraganem podobnym Amadeuszowi, to pozostało tajemnicą dla czytelnika. Jeżeli tylko przez sam fakt sakramentalnego małżeństwa, ustrzegła się pokus tak ponętnego uwodziciela, to należało w takim razie zapoznać z domowćm poźyciem, czćmś waźniejszym, aniżeli jest powtarzane całowanie mćża w głowć. Inaczćj pani Sylwii wydaje się cnotą od stćp do głowcy, a w takim razie nie ma walki, a gdzie nie ma walki, tam nie ma kolizyj, a gdzie nie ma kolizyj, tam nie ma dramatycznego wćzła; — albo tćż jest egoistką zadowoloną z bogactw małżonka, i z obawy jedyńie utracenia tychże, obawiającą się narazić. Panna Irena wyraźniejszą się przedstawia, ale jedyńie z opowiadań osćb trzecich, bo osćbiście działającćj, nie widzimy prawie nigdy. Raz tylko zetknęła się w salonie Sylwii z Amadeuszem, i wtedy zarumieniała się i zemdłała, a potćm słyszemy juź tylko o nićj z opowiadań, że podrćżuje, i że nareszcie umiera na suchoty. Co się tyczy dyalogu, nie pochwalimy go ani z dowcipu ani z potoczystości, a nadto co do jćzyka, poprosimy autora usilnie o ochranianie go od skazy gallicyzmćw, których wprawdzie mniej w tćj powieści aniżeli w „Czarnych godzinach”, ale zawsze jeszcze za wiele, jak na utwćr literacki szerszych rozmiarćw. Mićdzy innymi błędami, wymienimy kilka raźących, jako na stronnicy 117: „dodała z *parodystycznym patosen*” — (co to znaczy? czy to po polsku?) lub (str. 245) tćj istnćj „*meskinery*” moralnćj. (To za wielka zuchwałość, przyswajania cudzoziemskich wyrazćw). Albo „za *subtelnych nieco ryśów*.” (Rysy mogą być delikatne, ale nigdy subtelne). Nie zaleca się tćż składnia, posługująca się zaimkiem: *ktćry, ktćra, ktćre*, bez przerwy kilkakrotnie, w jednym niewielkim okresie. Nie dziwimy się tćż, że pani Sylwia niewzruszoną pozostaje listem Amadeusza, napisanym wcale nie stylistycznie, z powtarzaniem zanadto poufałćm zaimka *Ci*. Oto ustćp: „Niechaj *Ci*ę dziwi, że ten list otrzymujesz, ale niechaj *Ci*ę dziwi, że go dopićro dziś otrzymujesz... Pani, ja *Ci*ę kocham! Czy może *Ci* się wydać niespodzićwanćm to słowo?.. Nie, niepodobna, aby wyznanie to nowćm *Ci* byto!... — lub trochć dalej:... Natenczas jest ona draperyą, ktćra spadnie sama z *Ciebie*, lub ktćrą ja *Ci* zedrć panil i t. p. i t. p.”

Wyrzekłszy nasze zdanie, jakie nam nasunęło przeczytanie tćj powieści, konkludujemy, że widzimy w nićj mimo znaczonech błędćw i usterkćw, postćp w stosunku do powieści

„Czarne godziny,” z której zdawaliśmy sprawę w przeszłym roku. Jest w tej powieści wiele ruchu, dosyć samodzielności, a nade wszystko nie sprawia tego wrażenia, co powieść poprzednia, którą trzeba było zaliczyć do tak zwanego „*genre ennuyeux*.” Między nadzieję, że płodność p. W. Łozińskiego, której daje dowody, obdarzy nas wkrótce, nową powieścią, dojrzalszą pomysłem i obrobieniem.

Mówiąc o p. Władysławie Łozińskim, godzi się krótkim słowem wspomnieć o ś. p. bracie jego Walerym. Żył zanadto krótko dla literatury, i dla rozwoju wielkiego swego talentu. Nieukończony szkół, nie dopełnił swego kształcenia; ale dowód pisarskich zdolności złożył już w 18 roku życia. Pierwszą jego powieścią excentryczną, pełną okropności, w obec których zniknąłby mogły romanse francuzkie, ujawniającą jednak już wtedy zdolności pisarskie, była „Kamień nad Spasem.” Przybywszy do Lwowa z prowincyi, wziął się pod przewodnictwem ś. p. Szajnochy, do studyów dawnych pisarzy, osobliwie gdy na wezwanie wydawnictwa Biblioteki polskiej Turowskiego w Sanoku, zobowiązał się wydobywać i odpisywać rzadkie rękopisma; w powieści którą wydał w roku 1857 p. t. „*Szlachcic chodackowcy*,” znać wyczytanie się w styl dawny. Treść wziął z wypadków okolicy, w której się wychował. Okolica ta przepelnioną jest zaściankami szlachty chodackowej, która między sobą prowadzi spory, lub przez możniejszych wysykiwać się daje. Powieść ta, drukowana w Dzienniku Literackim Lwowskim, rozgłosiła nagle jego sławę. Z nieznanego, stał się teraz rzeczywistym pisarzem. Druga większa powieść p. t. „*Szaraczek i Karmazyn*,” powtarza mniej więcej typy „*Szlachcica chodackowego*,” świat arystokratyczny odmalowany bez wewnętrznej prawdy, bo Łoziński salonów nie znał. Atoli żywe tu dramatyzowanie, a figury ze sfer niższych, skróślone z niepospolitą bystrością spostrzegawczą. W ogóle celuje w scenach ludowych, i w rysowaniu charakterów ludowych, jak na przykład ex żołnierza, górala, i innych. Komiki a raczej humoru szczerego, wesołego (nie mającego żadnej wspólności z dowcipem salonowym) bardzo wiele, w karykaturach zaś, a nawet typach klas niższych, nieporównany. Nikt chyba po nim nie unieśmiertelni tak przepysznie policyantów, rewizorów, mandataryuszów, ich pisarzy, ekonomów, i małomieszczan. Ten przymiot najwidoczniejszy w powieści dwutomowej p. t. „*Zakłęty dwór*.” Łoziński znał tylko kraj między Lwowem a Samborem, i w tén niewielki światek, przenoślił rzecz swych powieści, a pomimo tego, że malował drobne sceny, umiał tętnąć w nie *myśl wyższą*. W „*Zakłętym dworze*,” główną postacią przesuwającą się tajemniczo, i tajemniczo w końcu znikającą, jest szlachcic zamożny, zjawiający się między ludem, szlachtą i mieszczaństwem. Stoi on w głębi powieści, lecz porusza wszystkim. Tenże sam jest i w drugiej powieści p. t. „*Dwie nocy*” (1860). Ale w „*Dworze zakłętym*,” dużo jest artyzmu i zaokrąglenia, czego brak w tej drugiej. Znać tu już znużenie a może



roztargnienie młodości, połączone ze zbytniem zaufaniem w swój talent, prowadzącem jak zwykle do pobieżnego pisania.

W chwili zjawienia się „Szlachcica chodackowego,” nie chciano wierzyć, żeby autorem był młodzieniec, nie mający jeszcze lat 20. Uderzał rysunek śmiały lubo cokolwiek za szorstki, tak, że się nawet zaczęto obawiać o kierunek jego idealny. Ale było to w naturze Łozińskiego, że od grubéj, dosadnéj rzeczywistości dochodził do stron miękkih i czulszych, jak to widzimy w „Czarnym Matwieju,” który unosi czytelnika w krainę ideałów i rzetwności. Talent rozwijał się z tą chwilą wszechstronnie, szlachetnie, wraz z rozwijającą się pięknie młodością.

I w dramacie próbował sił swoich. „Verbum nobile,” — „Niebezpieczny człowiek,” były to próby, mile witane na scenach. Napisał także poważniejszym krojem opracowaną powiastkę p. t. „Starsza siostra Zygmunta Augusta.” A prócz tego drukował powieści: „Pan Stanisław Białobocki,” „Żaby” studjum humorystyczne (przełożone na niemieckie i czeskie). Jego studjum p. t. „Ludzie z pod słomianéj strzechy,” uzyskało premium. Piérwsze jego próby (1853) drukowały pisma „Telegraf,” i „Szpargały,” jako: „Człowiek bez imienia,” — „Powieść o błędnym rycerzu,” — „Pan Skarbnik Drochorucki,” „Sąsiadka” i inne. Byłto pisarz bardzo obfity, a pisał z pośpiechem, jakby przeczuwał, że okrutna śmierć porwie go w zimne objęcia z żalem wszystkich, ze szkoda piśmiennictwa, w 24 roku życia!.

Powiastka p. t. „W otchłani,” maleńką jest książeczką, wydaną w zeszytach Biblioteki kieszonkowéj, i możebyśmy jéj byli wcale nie dostrzegli, gdyby polemika z jéj przyczyny, nie zwróciła naszéj uwagi. Zarzucano, o ile sobie przypominamy, autorowi wprost plagiat, odkradzenie pomysłu z wielce udatnéj komedyjki p. t. „Obiaduję u mojej matki,” granéj nawet przed laty na scenie tutejszój. Rzeczywiście, zarzut to ciężki, zważywszy zwłaszcza gęstość podobnych przykładów, na które nie wolno patrzeć przez szpary. Własność umysłowa, jest tak samo, co mówię, jest stokróć świętszą od własności rzeczowéj. Zdobyta ona najszlachetniejszą pracą, produkcją myśli. Kto więc cudzą własność przywłaszczysz, ze zmianą jedynie niektórych szczegółów, za utwór własny podaje, nim się szczyci, za niego pochwały odbiera, ten zasługuje na piętno nagany publicznej. Atoli między wzięciem pomysłu a plagiatem niezgrabnym, nie mała często zachodzi różnica. I tu właśnie przypomnieć trzeba słowa Molier'a: „*je prends mon bien, ou je le trouve.*” Molier brał pomysły, Szekspir całe opowiadki, a przecież bodajby wielu takiem spożytkowaniem cudzój własności, poszczycić się mogło!

Otóż przeczytałem z uwagą powiastkę p. Gomulickiego, i znalazłem, że część piérwsza całkowicie jest wzięta z powyższéj komedyjki, i przerobioną na opowiadanie. Ale część druga, czyli rozwinięcie i zakończenie, napisaną jest samodzielnie, i z taką siłą

na tak drobne ramy, że zwyczajko obalić może, wszelkie złośliwe czy nieusprawiedliwione zarzuty.

P. Gomulicki, młody bardzo autor, przenikniony jest niestety na wskroś ową szkołą francuską, o której napomknęliśmy na wstępie; więc lubi wybierać przedmioty, mniej może stosowne dla występującego dopióroco pisarza, lubi dotykać się zbyt namacalnie jątrzących się ran, których może lepiej byłoby nie goić wcale, ale skoro już się raz na to zdecydował, to wybrnął z niezaprzeczonem talentem. Nie lubiąc szafować tym wyrazem, nie mierzymy go jednak na łokcie, i często dotykaliśmy się nam on przedstawia w kilku kartkach, aniżeli w kilku tomach.

Zobaczmy o co chodzi.

Jestto wilia Bożego Narodzenia. W saloniku, umeblowanym z owym gustem wytwornym i rozkosznym, jaki właściwy Aspazyom starożytnym i kokotom społecznym, kończyła strój wieczorny Lorka przed lustrem, a za nią konfidencyjnie uśmiechnięta, stała subretka. Z wdziękiem i kokieterią, patrzyła Lorka w szybę zwierciadła. Oczekiwała Gustawa, gdy wtém bryftreger przyniósł list. Przeczytawszy, sposepiała, zmięta go w różnych paluszkach. „Nie przyjdzie!” — szepnęła ze łzami, niechętnie patrząc na lukullusową kolację, wniesioną na wspnianiałym serwisie przez garsona z restauracji.

„Zuziu — mówiła Lorka przez łzy — kiedy mnie Gucio porzucił na dzisiejszy wieczór, to już ty musisz zastąpić jego miejsce.” Dziewczyna milczała, nareszcie mimo błagań i przymilań pani, wybuchnęła z płaczem: „Nie mogę! matka na mnie czeka!” — I poszła subretka spożyć wieszczę z rodziną, podobnie jak to uczynił garson, który się wprost ztamtał kazał zawieźć na Dunaj, do staruchnej, swój matki. A biedna Lorka została sama, ze swými strasznými wspomnieniami szczęśliwego dzieciństwa w dworku szlacheckim, i czystej młodości... aż do dnia pierwszej pokusy, fatalnego spotkania bogatego i cynicznego Gucia, który ją zbezczescił, uwiódł z domu owdowiałej mateńki, pozostał w większém jeszcze sieroctwie i rozpaczy.

Ocknęła się Lorka. Wspomnienia pierś jój wezbrały, nastąpiła pierwsza chwila refleksyi. Wstała, przystąpiła do łóżka i kłękła przy niem. Między fałdami obłon batystowych, lubieżnych (?), wisał *krzyżyk*. Podniosła się blasku pełna... wyjęła z komody skromną sukienkę, zrzuciła z siebie brylanty, i opuściła nocą ten przybytek zbytków i hańby!

Na Browarniej tymczasem, czytała przy płomieniu lampy, stara niewiasta Pismo święte, i szeptała głucho: „Przyjdzie!”... Z wiarą w zbolałém sercu czekała, co chwila nadsłuchując. Czekala długo, szukając pociechy w Psalmach. Zegar wybił sycząc dwunastą.

„Północ! — mówiła cichutko. Cud wcielenia spełniony. Odkupiciel przyszedł w chwale!” Płaczem wybuchła. Nagle ktoś

wbiegł na schody, klamkę naciśnięto, drzwi skrzypnęły; Lorka padła w objęcia matki.

W krótkim dopisku, opowiada autor jak spotkał Lorkę z matką. Matka była rozpromieniona, bo odziedziczyła majątek. Chciała zamieszkać daleko, aby dać córce zapomnienie i spokój; ale Lorka była wciąż milcząca; potem zaś rzekła: „Na szczęście trzeba zarabiać nieraz łzami i potem krwawym”... a mówiąc dalej, miała w twarzy dzikie jakieś znamię, które odpychało: „jakaś surowość i chłód beznamiętny, wyzierały z jęj lic, dawniej ciągnących magnetycznie”... Ktoś objaśnił ten fenomen przypomnieniem, że gdy Dante ukończył boską swą komedję, i wyszedł z celi swęj ponuręj na ulicę, chmara prostaków obiegła go ze wsząd krzyząc: oto człowiek, który z piekła wraca! Poeta obcując z szatanami idealnego bytu, spokrewnił się z nimi nie duchem, ale twarzą... Otóż Lorka, wraca jak Dante... z *otchłani*.

Na tém się kończy krótka ta powiastka. Przedmiot odkupienia upadłej kobiety, nie nowy, a jednak opowiedziany wymownie, stylem niepospolitym plastycznie malującym, nadającym koloryt żywy i barwny. I to największa zasługa téj „nowelli” jak ją autor nazwał, a zasługa według nas niemała, bo zarazem daje świadectwo, że autor mógłby stworzyć rzecz większą, oryginalniejszą, z prawdziwém powodzeniem. W stylu tym świeżym, malowniczym, przebija się młodość pełna ognia, a spragniona szerszych obrazów. Wspomnienia Lorki z pobytu w domu rodzicielskim, są to maleńkie, wcale udatne obrazki. I dla téj a nie innęj-przyczyny, poświęcamy autorowi kilka słów uznania i zachęty.

„Błyszczące nędze” brzmi tytuł nowęj powieści p. Michała Bałuckiego. Tytuł zachęcający, zdający się wskazywać przedmiot żywotny i wielkięj wagi w naszém społeczeństwie, w którém choro ba życia nad stan, epidemicznie grasuje. Dziwne to zaiste ale prawdziwe zjawisko, że gdzie dobrobyt kraju niezaprzeczony i ogólny, tam życie nad stan wyjątkowym bywa faktem; tam każdy odpowiednio zarobkowi, utrzymuje siebie i rodzinę, nie kusząc się o pozorny blask, o blichtr, o przypruszenie oczu innym, o fałsz, prowadzący ostatecznie do nieochybnęj zguby. W naszém społeczeństwie, w którém klasa średnia zamalgamowała w sobie rozliczne żywioły, rozliczne pochodzenia i uroszczenia, pojaw jęj ze wnętrzny, wydaje się jednolitym, nie przedstawiającym ani rażącej różnicy, ani przywilejowęj wyższości jednych nad drugimi. A przecież w praktyce, na każdym kroku, w najnędzniejszych drobiazgach, różnice te wyskakują, popychając indywidua do ambicyi dorównania tém, co dziś kosmopolitycznie układa towarzystwa, to jest zbytkiem, a przynajmniej życiem nad stan. Począwszy od rzemieślnika do bogatego bankiera, lub zamożnego właściciela ziemskiego, każdy wydatkuje więcj jak może, więcj jak powinien. Przyczyn tego szukać w coraz udoskonalających się wynalazkach, rozwiniętym przemyśle, umozębniającym i najuboższemu komfort o jakim dziad jego nie marzył; a może téż w demokratycznęj chęci

dorównania innym pozorem choćby, dającym prawo przysłowia: „jak cię widzą, tak cię piszą.” Badźcobądź, popęd ten wydawania więcój, anizeli się zarobić jest w stanie, sprowadza w następstwie rzeczowy niedostatek, który przed okiem ludzkim zakryć trzeba; a często nędze, okrywającą się pysznie jak hidalgo hiszpański podziurawionym płaszczem. Autor rzeczonj powieści nędze takie i równoległe jěj moralne, miał na względzie. W tym celu, wybrał sobie maleńki świątek, zamknięty w nie szerokiém kole, ale dostateczny do prze prowadzenia założenia.

Kilkanaście figur tu wchodzących, ma uprzytomnić cały szczebel społeczeński, od najniższego do coraz wyższych; a wiążąc się ze sobą, w mniěj więcój wspólnie powiazaną intrygę, złożył obraz całkowity choć jaskrawy, jedněj wspólněj wszystkim, chorobliwěj chęci błyszczienia. Przyznać trzeba, że autor położył sobie zadanie chwalebne, kwestyę palącą, wymagającą ratunku; jak się z tego wywiązał, starajmy się pokazać podaniem najkrótszěj treści:

Mieszka dwóch młodzieńców, szkolnych kolegów razem: Ludwik utrzymujący się z dawania lekcyi, i Józef prawnik. Jednego wieczoru wpada do Ludwika jakiś elegancki kawaler, i w poufném zwierzeniu błaga go o pożyczkę 200 guldenów, które go mają ratować od hańby fałszerstwa wexlu. Ludwik sam biedny, z krwawój żyjący pracy, obiecuje mu je przynieść wieczorem, do jego domu, gdzie uczy małego jego braciszka. Prócz małego braciszka jest tam i dorosła siostra, cudněj twarzy, Marya... *hrabianka*. Kładziemy nacisk na tę właściwość, bo stanie się ona węzłem i kolizyą dramatyczną, dwojga zakochanych osób. Wieczorem przynosi Ludwik owemu kawalerowi, hrabiemu Maurycemu uproszoną sumę, którą z wdzięcznością pozorną tenże odbiera, zostawiając Ludwika sam na sam z dumną hrabianką, a jego siostrą. Autor opowiada tutaj, że nie byli sobie obojętni; że dla Ireny „ta cicha i niemowna miłość ubogiego młodzieńca, była rodzajem snu rozkosznego, którego wrażenie jednak znika z nadchodzącym dniem”; ale bała się odpłacić wzajemnością, bo nie poświęciłaby dla niěj ani odrobiny dumy swojěj. Ludwik wié o tém; walczy ze sobą naprózno; po tysiącokroć postanawia nie widzié jěj więcój, lecz zawsze wraca stęskniony i bardziěj zakochany.

Kolega jego i przyjaciel Józef, jestto charakter nieugięty i prawy; w szkołach nazywano go Katonem. Był synem chłopa, czém się chlubił, a wielorakiemi swemi przymioty zasłużył sobie na ogólny szacunek. Zajmuje się on losem rodziny Podachowskich, składającj się z ojca, matki i córki: śliczněj Leoni. Podachowski albowiem stary, marnotrawnik i lekkiego charakteru, źle się wywiązał z powierzoněj mu opieki, za co mu pełnoletni pupil wytoczył proces. Proces ten grozi zabraniem obdłużoněj kamienicy czyli nędzą, a od tego chciał uchronić ich koniecznie, zakochany po swojemu Józef. Jakież jednak jego zdziwienie, gdy przyszedłszy do nich jednego wieczoru, zastaje wystrojonych na bal; nie

troszczących się bynajmniej o to: że może jutro nie będą mieli gdzie schronić głowy. Uproszony przez Leonie, idzie na bal lubo z niechęcią. Tam czeka go bolesny zawód, i pewne rozczarowanie. Leonia, śliczne dziewczę, pierwszy raz będąc na publicznym balu, oszołomiona komplementami i zabawą, a głównie nadskakiwaniem owego panicza Maurycyego—traktuje szorstko i z góry zacnego młodzieńca, który jest jej narzeczonym.

Trzeci obrazek, wprowadzony równocześnie przez autora, przedstawia młodego malarza Kamila, mieszkającego ze starszą matką. Siedząc przed sztalugą, wykończy kredką kontur obrazu, przedstawiający dziewczynę, stojącą przed zwierciadłem i wyciągającą rękę do stoliczka, na którym leży róża i kosztowny dyadem. Zdaje się namyslać, którą z tych ozdób wziąć do jasnych włosów. Dziewczynka ta, to ideał malarza, objęty w rzeczywistość, cudne kształty, a zwie się Lucynka.

Lucynka mieszka u siostry swój Adeli, aktorki płochych obyczajów. Patrzeć tu musi codziennie, na haniebne sceny zepsucia. Nieprzyzwoite rozmowy, gry hazardowne, bezecne orgie; życie błyszczące, bez myśli o jutrze—oto codzienna jej strawa. Lucynka umiała żyć wśród tego gwaru, życiem pustelnicy. „Zły przykład zamiast działać na nią zgubnie, był dla niej nauką moralności” jak określa autor. Chroniło ją może od zepsucia, uczucie czyste i szlachetne dla Kamila. Nadeszła jednak chwila, w której widziała konieczność ucieczki z domu siostry; napisała przeto list do Kamila szczerzy, proszący o ratunek. Kamil nie zawahał się, opowiedział matce swą miłość, i sprowadzili ją pod dach swój spokojny, skromny i pracowity.

Po takiej expozycyi kilku obrazków, nie intrygi wikła się coraz bardziej i rozwija. Ludwik zapłaciwszy owe 200 guldenów, je chleb suchy; za całą pociechę mając rozmowę z ukochaną Maryą, która raz nęcąc go, to znowu odpychając, doprowadza wreszcie do rozpacz. Ludwik ucieka, nikt nie wie gdzie; a Marya, zawsze dumna, zawsze pamiętna obowiązków, jakie według niej wymaga urodzenie, zostaje zakonnicą. Podachowski stary brnie w coraz większą ruinę, aż zrobiwszy znaczny deficyt w kassie publicznej, zapada w śmiertelną chorobę, przywołując do siebie Józefa. Józef przebaczył dawno w duszy Leonii, ów postępek na balu; rozumną pobłażliwością wywnioskował: że zajęcie się jej Maurycym mogło być tylko chwilowem, ale skoro go pozna na życie, odepchnie z pogardą. Tak się też stało; Leonia żaluje gorzko krzywdy twyrządzonej Józefowi. Po śmierci też ojca czuje się najszcześliwszą, gdy ją Józef powtórnie prosi o rękę. Józef stwarza teraz rodzinę. Matka mieszka z nimi, a dwoje dzieci, któremi ich Bóg pobłogosławił, spajają ściślej jeszcze węzeł rodzinny, jaki tenże rozumem swoim i sercem umiał zacieśnić.

Lecz Lucynka, owo dziewczę o zamysłonych oczach, zrazu szczęśliwe, że znalazło się obok ukochanego, otoczone miłością

i szacunkiem, wkrótce zaczyna się nudzić i tęsknić za gwarem, do którego od tak dawna, a mimowoli przywykła. Nudzi ją i męczy ta codzienna praca, i poetyczne wycieczki pieszo, w skromnej sukience. A do tego jeszcze, wśliznął się wąż kusiciel, znowu w postaci owego Maurycego, który pod zręcznym pozorem dawnego koleżeństwa, umie się wkraść w dom Kamila, i pozyskać nawet przychyłność starłej matki, nieufającej mu z początku. Wyciąga rodzinę na spacer, eleganckim lubo pożyczanym powozem, czaruje ich rozmową dowcipną i salonową, słowem obalamuca słabą Lucynkę, która przyjmuje od niego listy i prezenta. Kamil nie mogąc nie spostrzedz zmiany w Lucynie, zaczyna podejrywać, aż raz znajduje przypadkiem w jej sukience list Maurycego. List ten uderzył go jakby gromem, uczuł się znicestwiony, wrócił do pokoju, gdzie siedział Maurycy z Lucynką, i rzucił na stół, kawałek dobrze im znanego listu. Winni struchleli, Maurycy uciekł, a nazajutrz Lucynka.

W jakiś czas potem, widzimy Lucynkę przerzucaną z rąk do rąk, skalaną i zbezczeszczoną, zawsze w towarzystwie Maurycego, który ją sprzedaje, którego ona nienawidzi. Na balu maskowym, siedzi w gronie bachantek i pijanych biesiadników. Kamil, który właśnie co powrócił z Włoch, znajduje się tu także z Józefostwem. Przechodząc do bufetu, ujrzał wesołe grono, lecz nie zważa na nie; dopiero gdy go pijany Maurycy zaczepia, wymierza mu głośny policzek. Nazajutrz ma się odbyć pojedynek, Kamil walczy długo ze sobą, czy ma narazić na nędzę starą matkę. Lucynka, w której widok Kamila obudził wszystkie szlachetne uczucia, wszystkie czyste marzenia, chce go ratować jakimbądź sposobem. Lecz się jej to nie udaje. Kamil postrzelony w ramię, traci jedyny środek zarobku, a co okropnie, możność urzeczywistnienia malarskiego swego talentu.

I znowu autor robi przerwę lat kilku. U Józefów mieszka zgnębiony, apatyczny Kamil, i uczy im dzieciaka. Przypadkiem na spacerze, styka się z księdzem, w księdzu poznaje Ludwika, który powróciwszy z Rzymu, został kapelanem w pobliskim klasztorze. W tym klasztorze, mieszka jako panna matka, dawna hrabianka Marya, kochająca dziś więcej niż kiedykolwiek Ludwika, i on niemniej ją, on, jej spowiednik. Ze spowiedzi wie o wzajemności. Miłość ich staje się coraz gorętszą, Ludwik proponuje ucieczkę, poprzedzoną naturalnie porzuceniem ślubów zakonnych. Marya nie zgadza się na to, ale dla tego jedynie, że jej znów *duma wrodzona* nie pozwala, że jako hrabianka, nie jako zakonnica, nie może przelać dzielącej ich zapory. Marya wyjeżdża w odległą stronę, Ludwik pociesza się przyjaźnią Józefostwa.

Lucynka zgnędziała, schorzała, utrzymuje się z haftu. Z liłości, bierze ją do siebie pani Józefowa. Teraz przebacza Kamil umierającej, której pokuta straszna zatarała nieszczęsny błąd. Maurycy za morderstwo, stawiony przed kratki sądowe, skazany zostaje na wieczne więzienie.

Widzimy, że treści, obrazków, wydarzeń jest wiele, może za wiele, ze względu na warunek jedności akcji i opowiadania. Autor założeniem uwidocznienia „błyszczącej nędzy” w rozmaitych sferach, popsuł trochę spójność i wątek, podnoszący zajęcie czytelników. Niektóre też obrazki, szczególnie umitowane przez autora, rozwinięte doskonałej, inne zbyt zwięzłe i ucinkowo. Historia Lucynki i Kamila najszersza, z prawdziwym nakreślona talentem. Znać, że to pisze człowiek, który patrzył z boleścią na takie spowiewanie czci niewieści. na taką nędzę moralną, usiłującą swe łachmany, pokryć blaskiem zbytku i świecidel. Rodzina Podachowskich, a zwłaszcza samego Podachowskiego, przedstawiają ludzi żyjących z dnia na dzień, byle wesoło, choćby kosztem sumienia i honoru, wzięta z życia; szkoda tylko że się autor z nią odbył zbyt prędko. Taki Podachowski, mógłby posłużyć za typ w galerii przedstawicieli „nędzy błyszczącej”. Hr. Maurycy i jego ojciec to pasożyty, jakich zawsze w naszym społeczeństwie, na nie szczęście napotkać można. Można więc powiedzieć, że p. Bałucki ideę swoją przeprowadził konsekwentnie, logicznie, ze znajomością życia i ludzi, choć często zbyt jaskrawo, i z pewnym z góry powziętem uprzedzeniem.

Uprzedzenie to widoczne, ilekroć autor opisuje hrabiów, a wogóle herb szlachecki. Wtedy autor zapala się mimowiednie, i z obiektywności malarza przechodzi w innektwy osobiste, w rażącą tendencyjność. Szanujemy zasady każdego, nie zaprzeczamy praw pisarzowi, nawet wtedy, gdy chce otwarcie być tendencyjnym, ale na tém traci prawda ogólna, wieczna i nieśmiertelna, o którą głównie w utworze sztuki, chodzić powinno. Nie chcemy przezto powiedzieć, iż taki hrabia Maurycy nie mógł być skończonym łotrem, ale nie chcemy także wierzyć w to, że każdy hrabia dla tego że jest hrabią, łotrem być musi.

A taki wniosek wyciągnięty ze sposobu przedstawienia w tej powieści. Uprzedzenie to jednak, zepsuło prawdę psychologiczną, w nakreśleniu charakteru hrabianki Maryi. Dopóki zostaje w domu rodzicielskim, i poświęca Ludwika mimo że go kocha, przekładając śluby zakonne nad śluby doczesne z ukochanym, jedynie dla żadość uczynienia dumie, (bo nawet nie obowiązkom rodowym) dołąd możemy to zrozumieć i poniekąd usprawiedliwić. Po wielu jednak latach, będąc już panną matką, i ciągle zakochaną, odrzuca Ludwika prośbę porzucenia zaprzysiężonych słubów, nie dla tego że byłoby to świętokradztwem, grzechem lub występkiem, ale znów jedynie dla tego, że *duma jej rodowa* ugiał się nie chce i nie może. W tém leży rażące nieprawdopodobieństwo, fałsz wierutny, a czytelnika ogarnia niesmak z dwojakiego względu. Najprzód z tego, że skoro raz dobrowolnie przyjęła śluby, to powinna była więcęć mieć mocy nad sobą, i przytłumić uczucie, i nie objawiać go w konfesyonalnie przed spowiednikiem-kochankiem; a potem że odrzuca jego prośbę, nie z przyczyn religijnych lub moralnych, ale znów z tej śmiesznej, monstualnej dumy. Gdzie autor wyszukał taką kobię-

tę, któraby gotową była podeptać wszelkie węzły usświęcone obyczajem, dogmatem, z zachowaniem tylko czczego przesądu pochodzenia? Tu się rozminął autor z prawdopodobieństwem, czyniąc ustępstwo tendencyjnym swym uprzedzeniom.

W wypowiedzaniu téż motywów tego śmiałego projektu, jaki książdz Ludwik względem Maryi przeprowadzić chce, pomija autor prawdopodobieństwo, zwyczaję, tradycją przekazaną wiekami, a radby się stać nowatorem. Nowatorstwo atoli i reformy, wprowadzają ludzie potężni czynem, lub słowem podyktowaném pragnieniami mass.

W krótkich okresach powieściowych, zuchwale cokolwiek wygląda, zaczepienie radykalne tak ważnych, tak gorących kwestyj. Książdz Ludwik rozczytując się w żywocie Orzechowskiego, powinienby właśnie był odstąpić od niebacznego swego zamiaru, a nie dojrzyć w nim, z czysto osobistój zwłaszcza, a może nawet namiętnej pobudki. Ażeby się połączyć z kochaną od dawna, namawia ją do potargania węzłów, i sam własne potargać gotów. Czyż nie godniejszym było szlachetnego człowieka, nigdy się niemi nie krępować *bez przekonania*? Autor dla wypowiedzenia jaskrawo-oryginalnych frazesów, popełnił błąd psychologiczny, i zgrzeszył jako artysta. Główny ten zarzut, jaki z obowiązku czynimy autorowi, mieści wszakże w sobie i zaletę. bo tylko myślącym pisarzom, tego rodzaju błędy wydarzać się zwykły. P. Bałucki zaś myślącym i oryginalnym jest pisarzem, powtarzamy to z rzetelną przyjemnością. Umie patrzeć się na społeczeństwo haczném, choć czasem uprzedzoném okiem, widzi w niém choroby wymagające gwałtownego ratunku, i umie podać trafne moralne lekarstwo. Dowiódł tego w skreśleniu charakteru Leonii, i jój znakomitego lekarza Józefa. Ten Józef, to człowiek z krwią i kośćmi, dzielny czynem, praktyczny a wyższy, pozornie prozaiczny, a umiejący odczuwać ludzkie łyzy i cierpienia. Udał się autorowi najlepiej ze wszystkich, tak jak Kamil i Lucyka do chwili odrodzenia. Tego samego nie powiemy o Maryi, o Ludwiku od czasu zniknięcia, a w Maurycym widzimy przesadę. Trudno bowiem uwierzyć w urodzonego łotra, niemającego ani jednego momentu zacności, ani jednego wzruszenia, ani jednego poczciwego natchnienia. Wpada się zawsze w taki fałsz przy rysunku charakterów, gdy się im z góry obmyśliło *jednostronny* tylko kierunek.

Język pana Bałuckiego gładki, wyraża jący myśl treściwie, czysto poetycznie. Więcej téż widzimy umiejętności dramatyzowania scen strasznych, aniżeli daru wywołaniarzewności lub wzruszenia, lecz to już należy do właściwości talentu, którego panu Bałuckiemu nikt zaprzeczyć nie może.

Dwie jeszcze powieści, o których pisać chcemy, noszą nazwiska autorów powszechnie już znanych, składających bezustannie dowody obfitój działalności: jedna p. t. „Milion na poddaszu,” Jana Zacharyasiewicza, druga p. t.: „W mętnój wodzie,” J. I. Kraśzewskiego.



Rzecz pierwszją, odnosi się do początków Królestwa Kongresowego. Była to epoka przesilenia, uspakajającego się fermentu społeczeńskiego, i grupowania nowego stanu rzeczy w życiu rodzinnym. Potomkowie znakomitych imion, zbiędnieli a nie zdolni jąc się uczciwój pracy, podobni byli sztandarom odartyu, których nawet chwała niedawna, pójdzie w zapomnienie, jeżeli nie w poniewierkę. *Homines novi*, dorobkowie, powstałi z pańskich fortun, szukali godziwými i mniej godziwými drogami, uprawnienia w blasku społecznym czy towarzyskim. Ztąd więc na ówczesnych salonach warszawskich, spotykały się i mieszały ze sobą te grupy odmienne, łącząc i rozdwarzając w wzajemnych intrygach, ambicyach i dążeniach. Takim salonem, głośnym na owe czasy, był salon pani wojewodziny. Tam się zbierały wszystkie znakomite i historyczne nazwiska, tam również, cały tłum nieznaných a wzbogaconých. Ztąd rozchodziły się opinie o ludziach, złe lub dobre, podnoszące lub ośmiężające.

Zdarzyło się w tę porę, że przyjechała do Warszawy pani szambelanowa Mirska z głębi Litwy, i zamieszkała na poddaszu ze swą wnuczką, ku wielkiemu zgorszeniu sfer arystokratycznych. Pogłoski chodziły, że po śmierci męża, który stracił wielką fortunę, zakopała się na wsi przez lat kilkadziesiąt, i pracowała ciężko jak ostatni wyrobnik, że zebrała miliony, z którými się kryje umyślnie, maskując pozorną nędzą. Wieści te głuche zrazu, rozniósł jeden z podżytych kawalerów, najpierw w gronie towarzyszy: pana podkomorzycy, pana podczaszycy i innych. Byli to sami podżyli kawalerowie o historycznych nazwiskach, ale zrujnowanej fortunie. Wiadomość ta obudziła w każdym, chciwe plany zdobycia miliona posagu, należącego do wnuczki pani szambelanowój. I wszyscy równocześnie, tając się przed sobą, rozpoczęli kampanię, która się wszakże żadnemu nie powiodła.

Szambelanowa w kilku pokoikach zamknięta, z śliczną wnuczką Teressą, i z panną służebną, prowadzi życie klasztorne i więcéj jak skromne, bo pozornie: prawie gminne. W domówóm, ci-chém życiu, zachodzi nagle ważny wypadek, wynajęcia jednego pokoiku. Nieznające miasta dziewczęcę, marzy o przyszłym lokatorze, który się téż zjawia w osobie niejakiego Bernarda, młodego człowieka, ex-wojskowego, a obecnie urzędnika o bardzo szczupłej pensji. Młody człowiek otwartego i ujmującego obejścia, szlachetnego charakteru, spodobał się od razu pani szambelanowój, a sam zakochał się ogniście w Tereni. Stawszy się ich codziennym gościem i przyjacielem domu, kocha coraz silniój i tylko marzy o większój pensji, ażeby módz Terenię zaślubić. Terenia mile patrzy na niego, z czego nieomal wnioskować może o wzajemności. Nie obawia się rekuzy, bo widzi biędę równą swojój. Aż nagle zmienia się stan rzeczy.

Razu jednego, podkomorzyc zetknął się w sieni z panią szambelanową i to w chwili, gdy zamysłał atak na milion przypuścić na seryo. Zmieszany, wymienia swoje nazwisko i pokrewieństwo.

Szambelanowa bez ceremonii wzięła go pod rękę, tak iż musiał ją poprowadzić na Stare Miasto, zkąd z powrotem musiał dźwigać kupioną marchew. Był to cios straszliwy dla eleganta i lwa salonów. Zrozpaczony, chcąc uciszyć plotki całego miasta, zaczępił w salonie wojewodziny sam, głośno, z pewną ostentacją, tę kwestyą, opowiadając jak niósł pani szambelanowej marchew i kurczęta przez ulicę, czego się jednak nie wstydzi, bo wnuczka jest przesłiczna i ma milion posagu. Milion oddział magicznie na chciwe dusze. Każdy namotał sobie na prędce plan postępowania; kobiety przestraszone, że podkomorzyc może im się wymknąć, natarły na niego z podwójną gwałtownością, głównie pani pułkownikowa, wdowa po dwóch mężach; panny dorobkiewiczówne zdecydowały się stanowczo wyjść za wzdychających dotąd naprzóżno konkurentów, ciągle w obawie Tereni milionowej, mogącej im tychże sprzątnąć, — a p. podczaszyc zręczną intrygą, pozbywa się najniebezpieczniejszego rywala, podkomorzycy, który wyjeżdża z podżyłą pułkownikową do Londynu, i tam się żeni.

Zostawszy sam, chce się wkraść w dom szambelanowej. Pod pozorem przeto zdjęcia widoku z kościoła na Lesznie, odnajmuje za wysoką cenę pokoiik od Bernarda, który chcąc ulżyć biedzie swych gospodarzy, zgadza się na odstąpienie, choć z bólem serca. Pan podczaszyc zaś wkrótce, jako bardzo przystojny kawaler, umiejący grać na cytrze i na klawikordzie, umiejący zawracać główki niedoświadczonym dziewczętom, obałamuca Terenię, która wnet zapomina o skromnym i pełnym poświęcenia Bernardzie. Szambelanowa tylko surowa jak zawsze, pełna godności, złośliwa dla intruza, a serdeczna dla stroskanego Bernarda. Przekonał się albowiem prędko, że wpuścił wilka do owczarni. Kto wie co by się było stało, gdyby jednego ranka, gdy podczaszyc przygrywał melancholijnie na cytrze, nie wpadli nagle śludzy sądowi z komornikiem. Przyszli oni zabrać ubożuchne graty szambelanowej. Podczaszyc struchlał, bo się przekonał, że wymysły o milionie były najfałszywsze. Zamiast biedz na ratunek, ucieka nikczemnie, przysyłając jeszcze lokaja po zostawione rzeczy swoje w pokoiku, z obawy o zajęcie ich przez komornika. Bernard zaś, który tegoż dnia dostał dekret podwyższenia pensyi, dowiedziawszy się o nie-szczęściu szambelanowej, zastawia go u lichwiarza, i biegnie wykupić tych, których ukochał nad życie. Ale spieszył się niepotrzebnie. . . bo teraz szambelanowa z rozjaśnioném licem, przyciska go do piersi jako syna, i każe mu z sobą jechać do wspaniałego apartamentu. Terenia, przekonana o ohydny charakterze podczaszycy, wraca z wznowioną miłością do Bernarda, a wieść o milionie potwierdziła się z dodatkiem, że rzeczywiście na poddaszu, więcej było jak milion.

P. Zacharyasiewicz jako doświadczony autor, zręcznie i kunsztownie ubarwił umiał osnowę dosyć zwykłą i prostą, a rzekłbym nawet: anegdotyczną. Od pierwszych kartek, czytelnik domyśla się po troszę, że szambelanowa tai majątek, nie wie tylko dlaczego,

i kiedy prawdę odłoni. Dlatego, chciwe i brzydkie podstępny podkomorzycy i podczaszycy, nie tyle go interesują, ile znaczna miłość Bernarda, nieprzypuszczającego że ma do czynienia z bogatymi ludźmi, a więc działającego z całą swobodą człowieka niepodległego charakteru, i samodzielnej, wytrwałej pracy. W nim skupione całe zajęcie, — czyni jego, troski, obawy obchodzą żywo, a niepotrzebna dodawać, że autor umie zajęcie to podtrzymywać i ożywiać. Charakter Bernarda i szambelanowej, nakręślone z wielką znajomością ludzkiego serca. z wielką konsekwencją, i z taką dosadnością, że dwie te postacie widzi się ciągle jakby żywe, i jakby spowiadające się osobiście czytelnikowi, ze swych cierpień i nadziei. Dwie też te figury skupiają całą uwagę. inne wydają się podrzędne i służą za akcesorya. Nawet ładna Terenia, mniej przywiązuje do siebie, chociaż autor z prawdą życia, wplótł jej obalamucenie przez podczaszycy. Podczaszycy narysowany wyraziście, bledszym i niewyraźniejszym jest podkomorzycy, którego poznajemy z jednej i brzydki strony: wyrachowania i egoizmu. Pani pułkownikowa, szkicowana tylko, ale wprawnym piórem. Z jednej sceny komedii, jaką odgrywa z podkomorzycem, poznaje się całą przeszłość burzliwą płochę kobiety. Portret jej trafny, i żywo przypominający wietrznice z epoki Stanisława Augusta.

Raziło nas tylko cokolwiek, zbyt drobiazgowy i gminny powtarzanie szczegółów domowego życia u pani szambelanowej. To, że Bernard nosił buteczki w kieszeni, i kupował łój do kołdunów litewskich, niekoniecznie mogło chwycić za serce poetyczną, artystycznie ukształconą i marzącą jak każde młodziutkie dziewczę, Terenię. Dlatego nic dziwnego, że ją oślśnił świętny, błyszczący, elegancki i pański podczaszycy. Mogło się to wielce podobać szambelanowej, jako kobiecie starszej, rozsądnej i praktycznej. Autor nie bał się więc tego środka, jako mającego wykazać „prostotę” bohaterki, ale w tym razie zakrawa ona na prostactwo, a raczej na trywialność, której estetyczne względy, użyć zabraniają w utworze literackim.

P. Zacharyasiewicz, pisarz niestrudzony, który nas już niejedną dobrą obdarzył powieścią, umie pochwycić rozmaite struny życia ludzkiego, i na nutę powieściarską naciągnąć. Wybiera przedmioty wszelkiego rodzaju, obyczajowe i historyczne, z których wkrótce spora ułoży się biblioteka. Niemniej i ta powieść, mniejsza rozmiarem i założeniem, czyta się przyjemnie, przenosząc czytelnika w świat dobrze mu znany, bo swojski, a opowiedziany z nieudanym zamiłowaniem.

Nadzwyczajnej płodności autor, któremu tomy powieści się piąją jak z rękawa, i to powieści niepowszednie, I. J. Kraszewski, napisał kilka miesięcy temu, nową powieść p. t.: „W mętnej wodzie”.

Po tylu chwalebnych latach doświadczenia pisarskiego, przedmioty i obrazy jakie ten autor wybiera, muszą się opierać na prawdzie życia, czasem smutnej i ponurej, ale nie dającej się zbić zarzutem, że są wymysłem czczęj wyobraźni, lub poetycznej tylko

inwencji. W zawodzie każdego powieściopisarza z talentem, nastaje epoka równoległa z wiekiem, w której idealniejszy nastrój, zastępuje obserwacja głęboka, wykwitła na gruncie najbliższej rzeczywistości, a mająca za cel ostateczny: leczenie stanowcze społeczeństwa, bolesnym choćby medykamentem. Nazwałbym zwrot taki: utylitarno-moralnym, jeżeli do wyrazu moralność, da się przyczepić przymiotnik, napozór wprost przeciwnego znaczenia. I zaiście, kiedy młodemu pisarzowi przedewszystkiem chodzi o wydobyć efektu, o dekoracyę, o blask, słowem o proceder olśniewający, wzbudzający podziw, bez uwagi na cele wyższe, dla których przedewszystkiem dzieło sztuki tworzyć się powinno; to pisarz poważny przeciwnie, wzgląd ostatni najbardziej ma na baczności. Widzi on wkoło siebie błędy i niedostatki; zaślepienie i zgubę, więc bieży na ratunek; wypala jątrzące się rany, z odwagą biorącą na siebie całą odpowiedzialność. Taki lekarz, dalekim jest od rzeszy szarlatanów i fanfaronów, widzących wszędzie złe i zgniliznę, a nie mających na to ani ochoty ratunku, ani zasobów uzdrawiających. Nieodświadczeni pisarze, zaczynają zwykle od karcenia i potępania wszelkich stosunków społecznych, od piętnowania, pędzlem maczanym w najczarniejszych farbách, wszystkiego co bez nich poczęte, bez nich istnieje.

Nie można inaczej powiedzieć, ani inszej podsuwać pobudki autorowi powieści „W mętnej wodzie”. Złe tylko, straszliwie niemal, jakie dostrzegł, jakiego może zmuszony był się dotknąć, natchnęło go oburzeniem i zgrozą, podyktowało mu słowa ostre, gryzące, pełne wyrzutu dla pewnych inndywiduów, a raczej dla społeczeństwa, które takie inndywidua znosi.

Spoczeństwo odpowiedzialnem jest za grzechy, które silną swą wolą przytłumić jest w stanie, odpowiedzialnem jest za szkody, jakie kilku, pod płaszczykiem najczystszych i najszlachetniejszych zasad, ogółowi wyrządza. Jeżeli karany bywa popospolity złodziej lub morderca, to jakże ukaranym być winien, morderca wszystkiego co zacne i dąży do postępu, a co się bratać nie chce z brudnym jego osobistym interesem? Stokroć on niebezpieczniejszy, bo szermując frazesami obmyślonemi podstępnie, podszywając się pod hasło, które wszyscy szanować przywykli, podkopuje się jak kret, odkrada zaufanie, należne jedynie ludziom uczciwym i dobrej woli.

A takiego przedstawił nam autor w roli Drabickiego, dziennikarza. Człowiek to bez talentu i sumienia, niemający ani poszanowania dla cnoty, ani litości dla pognębnionych; szalbierz i kłamca, u którego zasada, wyznanie wiary wyginają się kauczukowo, stosownie do potrzeby, a przecież cieszący się pewnem znaczeniem i wpływami, zdolnemi obalić tych, co idą prosto i szlachetnie do celu. Wszyscy go znają jako łotra bez czci i wiary, a mimoto wszyscy pomagają mu w tryumfie, pognębnienia jego przeciwników.

Jakim sposobem się to dzieje, wykazuje autor w charakterystycznym zestawieniu faktów i złączeniu osób najrozmaitszego kalibru, służących za świadome i bezwiedne narzędzia. Drabicki dla utrzy-

mania monopolu swój gazety, oplątał tysiącem intryg, dzielnego i cnotliwego młodziana, Młyńskiego, któremu się zdawało, że wystarczy poświęcenie, zdolność i odwaga walki, ażeby zapewnić zwycięstwo: ideom zdrowym i postępowym. I ani się spostrzegł, kiedy wpadł w sieci, w których zostawia spokój swój, majątek, zdrowie, szczęście, wiarę i marzenia.

Porzucił zacisze wiejskie, kął spokojny, ażeby żywotniejszą pracą zasłużyć się społeczności. Gotów był porwać się za bary z olbrzymem, a zetknął się zaledwie z karłem, i runął. Broni jakiej używał, nie obawiają się tacy Drabicycy. Na otwartość mają podstęp, na szczerość obłudę jezuicką, na uderzenie kopją w otwartym boju, lisie doły, na ognistość talentu, skrytobójczy paszkwil. Z słabym walczy garstka, z nikczemnym szeregi, dające się obalamucić i oszukać. Młyński młodociąnym zapałem, siłą przekonania i obowiązku, chciał poradzić przebiegłej chytrności, niewahającej posłużyć się najniegodziwszemi środkami. Nie wiedział, że czynny, które mu chlubę przynieść powinny, (zaopiekowanie się sierotą Leną) odstąpią go tylko w obec wroga, narażą cześć jego i dobre imię tych, których kocha. Drabicki na życie jego prywatne rzucił pogłoskę skandaliczną, na publiczne: śmieszność. I zabić go musiał. Pojedynek, skutkiem którego Młyński, stracił zdrowie, to już nieunikniona konsekwencya. Nie dokonawszy niczego, zmarniał, unieszczęśliwiwszy tych, których kochał i od których był kochanym. Miałażby taką być nagroda sprawiedliwych i wybranych? Niestety, taką bywa często. Autor, ciemnego obrazu nie chciał oświecić promieniem choćby nadziei, i za to może mamy żal do niego. Bo koniecznością wydaje się nam w tym razie zawołać: „Autorze, obarczyłeś nas strapieniem, wyrwałeś kartkę czarną z historii naszego żywota, krwawą łuną oświeciłeś nam terazniejszość; lecz dlaczego nie zostawiasz w umyśle czytelnika wrażenia, że ta kartka była jedyną w całej księdze, fatalną, szkaradną, ale wyjątkową? Wszakże zaprzeczyć nie możesz, że *jest ona wyjątkową*; że na wyjątkowe, odrębne patrząc wydarzenia, mogły ci się pod wrażeniem słusznego oburzenia, wydać *ogólnemi*.

Tak jest, stoimy przy tém, że powieść ta napisana z potężnym talentem, dotyka się stosunków wyjątkowych, a chłoscząc je jak na to zasługują, nie może przecież mieć praw utworu, zawierającego typy ogólne i stosunki ogólnoludzkie.

Taki Izidor, dziennikarz z miedzianém czołem, co pogrzebał już dawno godność człowieka i pisarza, najemnik pióra dla wytuzczenia brzucha, sportretowany po Van-dykowsku, jest mimo to egzemplarzem rzadkim niezmiernie, i służy w tym posępnym obrazie, do jaskrawszego tylko uwydatnienia, nikczemności Drabickiego. Niechajby przepadło takie społeczeństwo, w którymbyśmy takich Drabickich i Izydorów, liczyć mieli na dziesiątki! W obec głównój postaci Drabickiego, dla którego rzecz można, tendencyjnie powieść była napisaną, nikną bardzo piękne szczegóły, i bardzo wdzięczne

profilowe charaktery, jakimi są: ksiądz kanonik, Jadzia i Lena (tój portret zupełny i doskonały). Niemniej trafnie wyrwani z życia, taki Sopoćko sługa jezuicki, lub hr. Dreysowa modna dewotka, bawiąca się w spódnicowego Venillota.

Młyńskiego, nazwać można prawdziwym bohaterem. Dzielny, pełen zapału, choć upada w końcu, lecz po mężnej i opornej walce. Rzadko się gdzieindziej spotkać z bohaterem powieści, takiej krwi i ducha, takiego szczerozłotego odlewu. Zazwyczaj młodzi bohaterowie powieści, bywają wielkimi mazgajami, lub przesadnymi ideologami; Młyński przeciwnie, umie połączyć idealne cele z praktycznymi środkami, a przytém umie czuć i kochać, jak człowiek wyposażony hojniej od Boga. Dlatego cierpienia jego, obchodzą żywo czytelnika, wzbudzając w nim braterskie współczucie.

Dodajcie do tego umiejętność dramatyzowania, dialog płynący swobodnie, język potoczysty i łatwy; dodajcie mnóstwo oryginalnych myśli, które autor umie rzucić, niby kwiaty o tężowych barwach na murawę zieloną, a wraz ze mną: zadziwicie się, zachwycicie nad tą wieczną młodością, niewyczerpanego naszego pisarza.

*E. Lubowski.*

